

O TOKE, SYNU GRAAGULLE, I O NIESZCZĘŚCIU, JAKIE GO SPOTKAŁO,
A TAKŻE O PEWNYM NIEDOBRYM PODARUNKU FINNVEDINGÓW

Długo w noc siedzieli przy piwie gwarząc o wszystkim, co się wydarzyło od czasu, kiedy Orm i Toke widzieli się z sobą po raz ostatni. Orm opowiadał o wyprawie do Anglii z Thorkelem Wysokim, o wielkiej bitwie pod Maeldun i o zdobytych łupach. A także o tym, jak spotkał ojca Willibalda i dał się ochrzcić, jak odnalazł córkę króla Haralda (i tu mały księżulo wplątał niejedno do opowiadania). Mówił też o ogromnej ilości srebra, którym musiał wykupić się od wikingów król Etelred Angielski, o podróży powrotnej z Ylvą i Willibaldem, o wizycie w Jellinge i spotkaniu z królem Svenem oraz o tym, co z tego wynikło. A dalej, jak śpieszył potem z przewodniczką do matczynej zagrody na pograniczu, aby ujść pomsty królewskiej.

– Ale Sven ma dobrą pamięć i długie ramię – mówił. – I nawet tutaj nastaje na moją głowę, chcąc zemścić się za prztyczek otrzymany od tego zacnego księżyka przy spotkaniu z nami. Nie dalej jak na wiosnę musiałem walczyć w nocy we własnym moim grodku z pewnym wędrownym kupcem, który bawił u mnie w gościnie – człowiekiem z Finnveden, imieniem Östen z Örestad, który przebywał przedtem na morzu z Dunami. Przybył on z silną drużyną, aby mnie zabić zdradziecko i posłać moją głowę królowi Svenowi. Lecz stracił u mnie wielu ludzi, a także konie i towar, i sam wyniósł z tego rozbitą czerep. Będzie chyba o tej sprawie mowa i na tingu. Puściłem go bowiem z życiem, gdy mu się łeb wygoił, a z nim także i paru jego ludzi, wpierw jednak skłoniwszy ich do przyjęcia wiary Chrystusowej. A stało się tak głównie dlatego, że ojciec Willibald, któremu niechętnie robię na przekór, wolał, aby ich raczej ochrzcić niż zabić.

– Nawet najmędrsi bywają czasem głupi – zauważył Toke. – A ten, co puszcza z życiem swego wroga, niech sam siebie wini, jeśli mu przyjdzie tego pożałować. Wiem, że chrześcijanie robią tak niekiedy, aby się przypodobać swemu Bogu. W tych jednak okolicach najlepszy jest stary sposób. Następnym razem możesz mieć dużo kłopotu z zabiciem tego, kogoś wypuścił. Z pewnością bowiem zechce zemścić się na tobie za wszystko, co stracił, i za hańbę, której doznał przez to, że został ochrzczony.

Postąpiliśmy słusznie – rzekł ojciec Willibald – i niech teraz diabeł i jego plemię robią, co potrafią.

– A ręka Boska silniejsza jest może, niż przypuszczasz – dodał Orm. – Czas jednak posłuchać, jak się tobie wiodło od chwili, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni.

Toke zaczął opowiadać o swoich losach. Mówił, że nie wyruszał na żadną dłuższą

zamorską wyprawę ani też nie miał tak jak Orm żadnych większych przygód. Mimo to jednak i on nie zaznał wiele spokoju, a nawet może jeszcze mniej od Orma.

– Powrót do domu, do Lister, był bowiem jak gdyby wpadnięciem w gniazdo os – mówił. – Zaledwie dotarł do ojcowskiej zagrody, przywitał się z rodzicami i wprowadził do domu swoją kobietę i dobytek, jak już nadbiegli do mnie mężowie w pilnych sprawach. I niebawem znalazłem się po same uszy w waśni, która rozgorzała w całej okolicy.

Był to zatarg wszczęty przez Ögmunda, Halle i jeszcze dwóch innych ludzi Orma. Po powrocie do domu na łodziach Styrbjörna, z dworzyszczą króla Haralda, gdzie pozostali ranni Orm i Toke, stwierdzili oni, że nie byli jedynymi, co ocaleli z wyprawy Kruka. Siedem lat przed nimi wrócił do domu Berse z jedną łodzią, mając przy wiosłach tylko trzydziestu dwu ludzi, ale za to przywożąc najcenniejsze skarby z gródka markgraфа, które znajdowały się na jego dwóch łodziach, gdy napadła na nich flotylla andaluzyjska.

– Nikt nie może zaprzeczyć – ciągnął Toke – że Berse był człowiekiem niezwykle mądrym i że sprzyjało mu szczęście, choć niedługo po powrocie umarł z przejedzenia. Był bowiem żarłoczniejszy od innych i żarłoczność ta przyprawiła go o zgubę, gdy osiadł beczynn timer w domu, nurzając się w bogactwie. Co prawda w walce z Andaluzyjczykami poniósł takie straty, że starczyło mu załogi – i to niepełnej – zaledwie do jednej łodzi. Z drugiej jednak, którą zmuszony był porzucić, zabrał wszystko, co najlepsze, i dotarł potem do domu bez żadnej złej przygody. Ludzie jego zaharowywali się przy wiosłach na śmierć, niemniej jednak przez cały czas ogromnie byli radzi. Im mniej ich bowiem zostawało przy życiu, tym więcej łupu przypadało na każdego. Przed wyprawą Kruka wielu z nich nie mogło sobie pozwolić nawet na wyżywienie choćby jednej wszy. Natomiast po powrocie z tej wyprawy nie było prawie w Lister bogacza, który mógłby się z nimi mierzyć. I oto żyli sobie bezpiecznie, we wszystko obfitując, dopóki nie wrócili do domu nasi ludzie i tego nie zobaczyli.

– Lecz i naszym nie brakowało przecież ani srebra, ani złota – wtrącił Orm.

– Nie byli biedni, wcale nie – przyznał Toke. – Byli bowiem rozsądni i dużo z sobą przywieźli z Hiszpanii, oprócz tego, co każdy z nich dostał w udziale za asturyjskich wioślarzy, których sprzedaliśmy w Jellinge. I dopóki nie dotarli do domu, uważali, że szczęście im sprzyja, i bardzo byli z wszystkiego zadowoleni. Ale kiedy usłyszeli o Berse i jego ludziach i zobaczyli ich osiadłych na rozległych majątnościach i posiadających płodne bydło, doskonałe łodzie i takie bogactwo, że nawet ich niewolnicy odchodzili od miski z kaszą stękając z przejedzenia i nie mając

siły do czysta jej wydrapać, wtedy zmieniło się usposobienie naszych towarzyszy. Ponuro zaczęli rozpowiadać o trudach i mokołach, których zaznali przez siedem lat w kraju Andaluzyjczyków. I wzrastał w nich coraz większy gniew na ludzi Berse, którzy zaledwie dotknęli stopą ziemi hiszpańskiej, aby natychmiast odpłynąć do domu z łodzią pełną srebra i złota. Siedzieli przygarbieni na ławach, spluwając przed siebie w zamyśleniu, i sarkali, że piwo nie ma należytej mocy.

– Czy to poganin, czy do ochrzczony, człowiek jest już taki, że zadowala się swoim tylko dopóty, dopóki nie spotka sąsiada, co posiada więcej – zauważył ojciec Willibald.

– To prawda, że człowiek czuje się najlepiej, gdy jest bogaty – przytaknął Orm.

– Tylko jeden Gunne miał inne troski – ciągnął Toke. – Przed wyprawą Kruka był żonaty, a gdy wrócił Berse, a tych, co nie wrócili, uznano za nieżyjących, żona Gunne wyszła za mąż po raz drugi i miała już kupę dzieciaków z nowym mężem. Gunne był zdania, że się postarzała i że wobec tego nie ma się o co użerać, i to zwłaszcza komuś, kto służył w straży przybocznej Almanzora. Swobodnie więc znalazł sobie młodszą i piękniejszą; aby włożyć jej na ramiona piękne, srebrne ozdoby. Ale i jemu nie starczyło tego długo na pociechę w innych przykrościach. Wszyscy czterej bowiem zgodnie uważali, że nie mogą bez odszkodowania pogodzić się z bogactwem ludzi Berse. Obeszli całą okolicę w otoczeniu zbrojnych krewniaków, domagając się godziwej części skarbów, które przypadły tym, co ocaleli z obu łodzi Berse. Wszędzie spotykali się z odmową, zamkniętymi wrotami i bronią trzymaną w pogotowiu. Rozjątrzenie ich wzrosło wtedy jeszcze bardziej, do tego stopnia, że zaczęli uważać, iż ludzie Berse nie tylko są im winni wiele marek srebra, ale są też tchórzami bez czci, którzy odpłynęli pozostawiając Kruka i nas na pastwę, wtedy gdy łódź naszą wzięto do niewoli.

– Nie mogli nam nic dopomóc – wtrącił Orm – skoro zostało ich tak niewielu po stoczeniu boju. Widocznie sądzona nam była niewola przy wiosłach.

– Być może – przyznał Toke – ale od krewniaków Kruka rościło się w okolicy, a teraz zaczęli oni myśleć tak jak nasi i zażądali, aby im wypłacono dolę Kruka jako hövdinga. Obie strony chwyciły za broń i spór rozgorzał na dobre, prowadzony z wielką zaciętością. Gdy wróciłem do domu, Halle i Grinulf leżeli ranni po jakimś napadzie. Mimo to jednak nie upadli na duchu i chcieli zaraz ze mną rozmawiać. W napadzie zabito wielu ich wrogów, a dwóch spłonęło w domu podpalonym przez Ögmunda i jednego z braci Kruka. Kilku zaś spośród ludzi Berse, których rozleniwił dobrobyt, zapłaciło, czego od nich żądano, aby tylko pozostawiono ich w spokoju. Inni jednak pienili się jak szaleni i domagali, aby Ögmunda, Halle, Gunne i Grinulfa

postawić poza prawem, a wraz z nimi także i mnie, gdybym im przyszedł z pomocą.

– Głowę dam – przerwał Orm – żeś nie siedział długo beczynnio.

Toke skinął głową w zamyśleniu i odrzekł, że najchętniej siedziałby cicho i spokojnie ze swoją kobietą, bardzo sobie bowiem wzajemnie przypadli do smaku, co zresztą wcale się nie zmieniło aż do dziś. Nie mógł jednak odmówić pomocy przyjaciołom, gdyż ucierpiałoby na tym jego dobre imię. Przyłączył się więc do nich natychmiast. A w jakiś czas potem spotkał go na weselu u Gunne przykry wypadek – śmieszność, wstyd i nieszczęście, które sprawiły mu wiele przykrości i kosztowały niejedno ludzkie życie.

– I wieście obaj – ciągnął Toke – że gdy wam teraz opowiem, jak to było, możecie śmiać się do woli i nie sięgnę po broń, mimo że zabiłem już niejednego, co tylko się uśmiechnął z tego, co minie spotkało. A było to tak. Wieczorem poszedłem pijany do ustępu i usadowiwszy się tam usnąłem, jak to się zdarza niejednemu na dobrych biesiadach. I tam właśnie zostałem pchnięty oszczepem przez dwóch nieznajomych, którzy podczołgali się pod tylną ściankę. Poderwałem się wysoko w powietrze i w mig odeszła mnie senność i miłe upojenie, bo mi się zdawało, że mnie zranili w podbrzusze. A oni obaj tak sądzili, słyszałem bowiem, jak się śmiali, zadowoleni, uciekając. Ale czy to niezdarnie parali się oszczepem, czy też te miały za długie drzewca, dość że trafili mnie w takie miejsce, iż wykpiłem się mniejszymi ranami, niż mi się zrazu zdawało. Niemniej długo musiałem leżeć w łożu, i to przez cały czas na brzuchu. A jeszcze dłużej trwało, nim znowu mogłem z zadowoleniem usiąść na ławie. Ze wszystkiego, co mi się w życiu przydarzyło, to było najgorsze – gorsze nawet od niewoli na galerach u Andaluzyjczyków.

– A więc nigdy nie dowiedziałeś się, kto cię pchnął? – spytał Orm.

– Dowiedziałem się, kto to był – odrzekł Toke – nie umieli bowiem utrzymać języka za zębami, lecz chęlpili się przed swoimi kobietami. Tą drogą wyszło na jaw i rozniosło po całej okolicy. Nazywali się Alf i Steinar, dwaj zarozumialcy z dobrego rodu, bratankowie Ossura Pyskacza, co był sternikiem na łodzi Berse i co zawsze się chępiał, że po matce wywodzi się od króla Alfa Kochliwego z Möre. Dowiedziałem się o tym, gdym jeszcze leczył się z ran w łożu, i obiecałem sobie wtedy, że nie posmakuję piwa ani zaznam kobiety, dopóki ich nie zarąbię na śmierć. I wiercie mi albo nie, ale dotrzymałem, tej obietnicy. Jak tylko stanąłem na nogi, polowałem na nich codziennie i w końcu szczęście uśmiechnęło się do mnie pewnego dnia, gdy wracaliśmy z połowów na morzu. Niewiele brakowało, a roniłbym łzy radości, widząc, jak przybijają do brzegu. Zaraz też rozgorzała na wybrzeżu walka na miecze, dopóki nie zarąbałem Steinara. Wtedy ten drugi uciekł, a ja puściłem się za nim

w pogoń. Piękny to był wyścig i szparko biegliśmy obaj na przełaj przez gąszcze i pastwiska, a potem dalej przez łąki do jego rodzinnej zagrody. Był to mąż chyżonogi, a przy tym ścigał się o swoje życie. Ale o to samo życie ścigałem się i ja. A także i o to, aby zmyć z siebie hańbę, no i aby oswobodzić się od danej sobie obietnicy. Nie daleko od jego zagrody dopadłem go w chwili, kiedy już mi się zdawało, że mi serce pęknie. I rozciąłem mu łeb aż po zęby, na oczach żniwiarzy. Nigdy chyba nie czułem się lepiej na duchu jak wtedy, gdy leżał tam przede mną nieżywy. Nie zaczepiany, wróciłem do domu i przez cały dzień piłem piwo, powiedziawszy mojej kobiecie, że najgorsze jest już za nami. Tak dobrze jednak jeszcze nie było.

– Jakież jeszcze mogłeś mieć troski, kiedyś już osiągnął tak godną pomstę? – zdziwił się Orm.

– Sąsiedzi z całej okolicy, druhowie i wrogowie, nikt nie mógł zapomnieć, w jaki sposób otrzymałem moje rany – ciągnął Toke posępnie. – I naigrawaniom nie było końca. Sądziłem, że zemsta moja położy kres temu, gdy w pojedynkę zabiłem dwóch w otwartym boju. Ale niewiele to pomogło. Niejeden raz musiałem Rōdnābbą oduczać mężczyzn od uśmiechania się na mój widok, ale i to na nic się nie zdało. Bo nawet gdy przychodzili z poważnymi minami, budziła się we mnie złość, gdyż wiedziałem, o czym myślą. Ułożyłem dobrą piosenkę o tym, jak to zabiłem Alfa i Steinara. Ale wnet dowiedziałem się, że w okolicy krążą trzy piosenki o tym, w jaki sposób oni mnie ranili, i że w okolicznych zagrodach zaśmiewają się przy nich do rozpuku. Wtedy pojąłem, że już nigdy nie będę czuł się dobrze w swoich stronach. I wraz z moją kobietą i całym dobytkiem powędrowałem poprzez wielką puszcę do Vārend. Miałem tam krewniaków i tam kupiłem sobie zagrodę. Odtąd tam mieszkam, żyję sobie zadowolony i jeszcze bogatszy niż zaraz po przybyciu, dzięki korzystnemu handlowi skórami. Mam trzech synów, którzy – jak na to wygląda – powinni wyrosnąć kiedyś na dorodnych mężów. Mam także córkę, o którą będą się zabijać zalotnicy, kiedy przyjdzie na to pora. Ale o nieszczęśliwym wypadku, który wyгнаł mnie z Lister, nie pisałem nigdy nikomu ani słowa. Tylko tobie, Ormie, i tobie, mały księżulu, opowiedziałem o tym dlatego, że mogę polegać, iż nikt inny nie dowie się tego od was. Wtedy bowiem znowu zaczęłyby się kpiny i naigrawania, choć minęły już cztery lata od chwili, gdy mi się przytrafiło owo nieszczęście.

Orm przyznał, że opowiadanie było uciészne, dodając, że Toke nie potrzebuje obawiać się gadulstwa z jego strony.

– Chętnie jednak posłuchałbym piosenek o tobie – dorzucił – choć to prawda, że nikt nie lubi powtarzać szyderczych piosenek o sobie samym.

Ojciec Willibald wychylił dzban i oświadczył, że to, czego wysłuchali – o zazdrości i sporach, pchnięciach oszczepem w to czy owo miejsce, o zemście i o szyderczych piosenkach oraz o innych tym podobnych sprawach – nie należy do opowieści, których by słuchał z wielkim zadowoleniem, bez względu na to, co w tej sprawie myśli sobie Orm.

– I możesz też być pewny, Toke – dodał – że nie będę latał o tym plotkować, lepsze mam bowiem rzeczy do opowiadania. Jeśli jednak ma ci to wyjść na dobre, powinieneś wyciągnąć naukę z tego, co ci się wydarzyło. W dworzyszczu królewskim widziałem i z opowiadań Orma o tobie wiem, że zawsze byłeś śmiały i nieustraszony, wesół i pewny siebie. A mimo to, gdy przytrafi ci się nieszczęśliwy wypadek, który daje głupim ludziskom powód do śmiechu, stajesz się słaby i bojaźliwy do tego stopnia, że musiałeś uciekać ze stron rodzinnych, gdy odkryłeś, że siła twego ramienia nie może ukrócić drwin. To już lepiej jest z nami, chrześcijanami. Dobrzy chrześcijanie bowiem nie troszczą się o to, co myślą sobie ludzie, lecz tylko o to, co się podoba Bogu. Starym jestem człowiekiem i niewiele mam w sobie siły, lecz mimo to silniejszy jestem od ciebie. Nikt bowiem nie przestraszy mnie kpinami i nie wywoła niepokoju i zamętu w moim umyśle. Kto ma oparcie w Bogu, nic sobie nie robi z ludzkiego gadania i nie boi się plotek i pośmiewiska.

– Oto rozsądne słowa, nad którymi warto się zastanowić – zauważył Orm. – Musisz bowiem wiedzieć, Toke, że ten ksiądz ma więcej rozumu niż ty i ja razem wzięci i że warto słuchać jego rad.

– Widzę, że piwo zaczyna działać na was obu – odrzekł Toke – skoro raczycie mnie takim gadaniem. Czy to twój pomysł, mały księżulu, by zrobić ze mnie chrześcijanina?

– Oczywiście – rzekł stanowczo ojciec Willibald.

– Wielkie bierzesz na siebie zadanie – rzekł Toke – i będzie to chyba trudniejsze i bardziej kłopotliwe niż wszelkie inne nawracania na chrześcijaństwo, którymiś się dotychczas zajmował.

– Nie przyniosłoby ci to żadnego wstydu zostać chrześcijaninem – wtrącił Orm. – Widzisz przecież, że ja nim zostałem. Ani nie osłabłem od tego na rozumie, ani też nie stało się słabsze moje ramię, i nigdy też nie potrzebowałem narzekać na moje szczęście od dnia, kiedym się ochrzcił.

– Może być – przyznał Toke – ale ty nie jesteś handlarzem skór tak jak ja. Handlarz skór nie może być chrześcijaninem w tym kraju. Wzbudzałoby to podejrzenia u tych, z którymi robię interesy. „On zdradził swoich bogów – powiedzieliby Virdowie – któż więc może na nim polegać w innych sprawach?” Nie

i nie. W imię przyjaźni do ciebie, Ormie, i do ciebie, mały księżu, zrobiłbym doprawdy wiele, ale nie to. A Mirah, moja kobieta, wpadłaby chyba w furję. Ze wspomnień z kraju rodzinnego zachowała wciąż jeszcze to, że nienawidzi chrześcijan ponad wszystko. A na mój rozum usposobienie jej jest dostatecznie gwałtowne i bez tego, lepiej więc nie rozdrażniać jej jeszcze bardziej takimi pomysłami. Dlatego też na próżno usiłujesz mnie namówić, mały księżu, mimo że jestem twoim przyjacielem i zamierzam nim pozostać.

Nawet sam ojciec Willibald nie umiał z tego wybrnąć. Orm zaś ziewnął mówiąc, że zrobiła się późna noc i że czas już iść spać. Rozstali się więc z Toke w wielkiej przyjaźni. A Toke i Orm wychwalali obaj swoje szczęście, że się znowu odnaleźli, i postanowili w przyszłości często się spotykać.

Orm i ojciec Willibald udali się z powrotem do swego obozowiska. Panował tam spokój i cisza. Strużki dymu snuły się z wygasłych ognisk, a w świetle księżycy leżeli pochrapując pogrążeni we śnie ludzie. Ale jeden z towarzyszy Orma czuwał jeszcze i uniósł głowę, gdy do niego podeszli.

– Przysłano tu coś dla was obu – rzekł sennym głosem. – Ten oto worek, który tam widzicie. Sowy nie przestają krzyczeć od czasu, kiedy go dostałem. Podeszedłem do strumyka napić się wody i wtedy od strony obozowiska Finnvedingów nadszedł jakiś mężczyzna i spytał o ciebie, Ormie. Powiedziałem mu, żeś poszedł do Virdów. Wtedy on przerzucił przez strumyk ten worek, który upadł u moich stóp. I krzyknął, że jest to pozdrowienie dla Orma z Gröning i dla jego długonosego księdza. Zapytałem go, co jest w worku. „Kapuściane głowy” – odparł śmiejąc się i szybko się oddalił. Ja zaś sądzę, że to coś innego, i to o wiele gorszego. Macie tu worek. Nikt nie tykał rzemienia, którym jest związany.

Położył worek u stóp Orma, po czym legł i natychmiast zapadł w sen.

Orm popatrzył z ponurą miną na worek i podniósł oczy na księdza. Obaj pokiwali głowami.

– To jakieś diabelstwo – rzekł ojciec Willibald. – Inaczej być nie może.

Orm rozwiązał rzemień i wysypał zawartość worka. Dwie głowy ludzkie potoczyły się na ziemię, a ojciec Willibald padł z krzykiem na kolana.

– Obaj są gołeni – mówił. – To kapłani Chrystusa zamordowani przez pogan! Jakżeż może umysł ludzki zrozumieć w pełni wolę Boską, kiedy diabłu wolno się nacieszyć takim dziełem?

Przyjrzał się bliżej obu głowom i wyciągnął ramiona ku niebu.

– Znam ich obu, znam ich obu, poznaję ich – powtarzał.

– To wielce pobożny ojciec Sebastian, którego nasz szalony magister miał

wykupić z niewoli. Bóg go teraz wyzwolił i posadził wysoko na niebiosach, pośród świętych męczenników. Ten drugi zaś to brat Nithard z Reims, który swego czasu przebywał z biskupem Popponem u króla Haralda. Potem udał się do Skanii i odtąd wszelki słuch o nim zaginął. Musiał i on dostać się do niewoli. Poznają go po uchu. Zawsze bowiem pałał wielką gorliwością i zapalem dla prawdziwej wiary i razu pewnego na cesarskim dworze jeden z mnichów cesarzowej Teofano, z miasta Konstantynopola, które Normanowie nazywają Miklagrodem, odgryzł mu ucho, gdy spierali się z sobą o pochodzenie Ducha Świętego. Brat Nithard zwykł zawsze mawiać, że poświęcił ucho w walce przeciw herezji i że chętnie oddałby głowę w walce z pogaństwem. I oto teraz stało się tak, jak mówił.

– Jeśli sam sobie tego życzył, to chyba wszystko w porządku – zauważył Orm. – Ale ja sądzę, że Finnvedingowie nie pozbawili tych kapłanów głowy po to, aby im dogodzić, bez względu na to, jak bardzo byli oni świątobliwi. Głowy te przysłano, aby przysporzyć nam wstydu i przykrości. To nagroda za to, żeśmy ochrztili Östena i jego dwóch towarzyszy i żeśmy puścili ich wolno, zamiast zabić, kiedy byli w naszych rękach. Musisz teraz tego żałować, tak samo jak ja.

– Dobry uczynek jest zawsze dobry i nie trzeba żałować niczego, co za sobą pociąga – odparł ojciec Willibald. – A te święte głowy pochowam w moim kościele. Wielka bowiem moc od nich przybędzie.

– Na razie idzie od nich smród – rzekł ponuro Orm – ale może być, że masz słuszość.

I na rozkaz ojca Willibalda pomógł mu zbierać trawę i liściaste gałązki, którymi napchali worek. Na podściółce tej ułożyli starannie obie głowy, po czym znów zawiązali worek rzemieniem.

TING PRZY KAMIENIU KRAKE

Następnego dnia rano każde plemię – Virdowie, Finnvedingowie i Gończycy – wybrało po dwunastu przedstawicieli. Wybrani podeszli do miejsc, które z dawien dawna dla nich były przeznaczone, i zasiedli półkolem przed kamieniem, każda dwunastka osobno. Dwunastka przedstawicieli Virdów siedziała pośrodku półkola i ich hövding podniósł się pierwszy, aby zabrać głos. Nazywał się Ugge Jąkała, syn Oara. Był to bardzo stary człowiek, o którym mówiono, że jest najmędrzy w całym Varend. Jak sięgnąć pamięcią, zawsze trudno mu było się wysławiać, wszyscy jednak zgodnie uważali, że tym silniejszy był w myśleniu. I opowiadano, że wyróżniał się

mądrością już w swoich młodych dniach, kiedy to potrafił czasem przesiedzieć przez trzydniowy ting nie powiedziawszy ani słowa i tylko od czasu do czasu powoli potrząsając głową. Ugge podszedł do kamienia i zwróciwszy się do koła przemówił: – Według odwiecznego ojców zwyczaju zebrali się tu mądrzy ludzie. Bardzo mądrzy ludzie z Värend, Goingii i Finnveden. I dobrze się stało. Witam was i ogłaszam mir na czas naszych narad. I niech mądrość wasza wyjdzie wszystkim na pożytek. Przybyliśmy tu, aby radzić nad pokojem. Bo tak już jest z ludźmi, że jedni są takiego zdania, a drudzy znów odmiennego. Stary jestem, wiele przeżyłem i wiem, co o tym myśleć. Uważam, że pokój jest dobrą rzeczą. Lepszą niż spory, lepszą niż pożoga, lepszą niż zabójstwo. Przez całe trzy lata panował między nami pokój i żadna stąd nie wynikła szkoda. Nie będzie też szkody, jeśli pokój trwać będzie nadal. Ci, co mają jakieś skargi, zostaną wy-